

„Yeah. Osama bin Laden is dead”

Dochodziła piąta, gdy Steve’a zbudził głośny śmiech strażnika. Donośny odgłos potężnej zasuw zamka zwiastował nadchodzącego Roy’a Finchera- pracownika służby więziennictwa z Texasu. Steve’a zastanawiało co ten jebany wieśniak może chcieć o tej porze i co mu tak wesoło? Podniósł się więc z łóżka i powędrował bliżej krat. Nasłuchiwał kroków strażnika do momentu, aż ten stanął przed jego celą. Roy szczerząc poźółkłe od tytoniu zęby powiedział:

- Dorwali go. Dopadli skurwysyna i wpakowali mu w dupę masę ołowiu.

Nie wiedział kogo złapali. Myślał sobie, że coś ten staruch bredzi.

- Ciesz się chłopcze- ciągnął dalej starszy mężczyzna. – Jeszcze przed śmiercią będziesz miał okazję do radości. Kurwa, takie święto, żona chyba upiecze indyka.

Kiedy Fincher odszedł od celi, zdezorientowany Steve nasłuchiwał o czym mówią pozostali strażnicy. Spośród wielu głosów kilkakrotnie padło zdanie: „bin Laden nie żyje...”. A więc to jego dopadli...

Sporą część dnia skazany spędził oglądając telewizję. Każdy program bombardowany był informacjami napływającymi z Pakistanu. Wiadomości były jeszcze dość chaotyczne, jednak ogólne przesłanie było jasne. Powtarzające się wciąż obrazy uradowanych, świętujących Amerykanów, którzy tłumnie zbierali się na ulicach, przywoływały w pamięci sceny z jedenastego września, kiedy to podobna euforia ogarnęła Afgańczyków. Uzmysłowił sobie, że tak wielu ludzi dzielących się wspólnie radością nie widział od dawna i nigdy już nie zobaczy.

Wyłączył telewizor, gdyż resztę dnia miał zamiar spędzić spokojnie, w swoim ostatnim domu w życiu.

Do celi śmierci trafił pół roku temu. Przez sześć miesięcy witał to miejsce i żegnał masę razy. W areszcie jak nigdzie indziej odżywały wspomnienia dawno już minionych wspaniałych lat życia. A może raczej dni. Nie było ich wiele, gdyż życie Steven’a Costello nie było sielanką i to od najmłodszych lat. Ojciec oprawca, pijak i sadysta nie dawał najmniejszych szans na spokojne dzieciństwo, a matka choć robiła co mogła, została psychicznie zniszczona przez swojego męża i jesień życia spędziła tak jak Steve- na łóżku, czekając na koniec. Różnica polegała na tym, że jej syn wiedział dokładnie kiedy ów koniec nadejdzie.

W imię zasady, że potworów tworzą potwory, młody Costello nie miał żadnych zahamowań co do czynienia zła. Drobnych kradzieży dopuszczał się już jako kilkuletni chłopiec i robił to z systematycznością dzwonka w szkole. Swojego pierwszego napadu dokonał jeszcze przed ukończeniem osiemnastu lat. Chciał wówczas zdobyć pieniądze na wyjazd matki do „lepszego świata”. Kiedy wszystko było już zaplanowane, a dom niebiednego urzędnika stał otworem, nieoczekiwanie Mary Elizabeth Costello zmarła. Był to potworny cios dla syna, który wiedział, że matka nie była w dobrej formie, lecz mimo tego nie podejrzewał iż skończy się to tak szybko.

Plan jednak był gotowy, dlatego też postanowił dokonać napadu, aby wyprawić zmarłej należytą uroczystość pogrzebową.

Dziewiczy skok okazał się bardzo owocny w zysk. Pieniędzy wystarczyło na pogrzeb, nagrobek i kilka akcesoriów niezbędnych każdemu włamywaczowi. Za łup kupił również rewolwer od znajomego po dość okazyjnej cenie. Broń zawsze mogła się przydać, a do tego miał ją prawie każdy.

Wkrótce użył rewolweru po raz pierwszy i ostatni. A miało to miejsce dokładnie w dzień osiągnięcia przez niego pełnoletniości. Wówczas ojciec przygotował dla syna niespodziankę. Jack urządził przyjęcie urodzinowe, na które był zaproszony on i rzecz jasna solenizant. Ugotował ulubione spaghetti carbonara, za którym Steve przepadał. W cukierni zamówił tort czekoladowy, a w sklepie kupił butelkę wina.

Ojciec po odejście Mary wyraźnie spokojniał. Nie przestał wprawdzie pić, ale zaczął bardziej bać się

śmierci, przez co wzrósł jego szacunek do życia.

Wieczorem, gdy wszystko było gotowe, Jack Costello czekał na powrót syna do domu, umilając sobie czas drinkiem. Z fotela wyrwało go donośne pukanie do drzwi. Wstał więc i poszedł przyjąć syna jak dobry, stęskniony tatuś.

Ku zdziwieniu ojca, za drzwiami nie było jego dziecka. Stało tam dwóch mężczyzn, którzy nie czekając na zaproszenie wtargnęło do domu, obezwładniając przy tym bezbronnego, trochę podpitego już właściciela.

- Twój syn wisi nam kasę- powiedział jeden z mężczyzn, posturą przypominający pięściarza wagi ciężkiej.

- Nie wiem nic o żadnych pieniądzach- wybełkotał Jack.- Nie będę spłacał długów Steve'a ani teraz ani nigdy. Dlatego wybaczenie panowie, ale odpierdolcie się ode mnie raz na zawsze.

Po tych słowach- jak się okazało ostatnich w życiu, stracił przytomność uderzony kijem w głowę. Cios był na tyle silny, że wgniół kość czaszki w mózg. Śmierć nastąpiła niemal natychmiast.

O dziwne morderstwo ojca oprawcy wywołało u Steve'a ogromny żal. I o tyle, o ile gdy zmarła matka, był bardzo opanowany i nie uronił nawet kropli łzy, teraz klęczał nad ciałem ojca i płakał jak bóbr. Zawsze myślał, że gdy odejdzie nareszcie będzie mógł rozpocząć życie na nowo. W tej chwili jednak nowe plany nie istniały.

Kiedy po chwili uczucie żalu i bólu minęło, ogarnęła go furia i żądza zemsty. Pobiegł do swojego pokoju i wyciągnął z szafy owinięty w materiał rewolwer. Zręcznie wepchnął zawiniątko do kieszeni i wybiegł z domu.

Wiedział doskonale kim jest morderca. Znał metody miejscowych przestępców, zwłaszcza, że sam był jednym z nich. Problemem nie było również ustalenie miejsca pobytu poszukiwanych, gdyż gdzieindziej mieliby przebywać złoczyńcy tuż po dokonaniu rabunku, jak nie w barze.

Czekał przed lokalem do późnego wieczora. Każda chwila potęgowała w nim przekonanie, że jedyną właściwą karą za zbrodnię, jest pozbawienie życia. Nigdy nie darowałby sobie gdyby teraz po prostu odszedł, powierzając tym samym sprawę majestatowi prawa.

Wreszcie oczom Steve'a ukazali się oprawcy jego ojca. Obaj byli pijani, co sprawiało, że stali się jednocześnie łatwym celem. Gdy poszli wzdłuż ulicy, ruszył za nimi.

Szedł kilkanaście metrów w tyle i powoli ale stanowczo zbliżał się ku mordercom.

Gdy był już zaledwie o krok, wyciągnął z kieszeni płaszcza broń. Odwinął materiał i odrzucił go na bok. Następnie chwycił pistolet w prawą dłoń i gwizdnął na tyle głośno, aby dwaj mężczyźni przed nim to usłyszeli. Kiedy obaj odwrócili się, Steve już do nich mierzył. Spojrzał jednemu głęboko w oczy i pociągnął za spust. Drugi stał nieruchomo i oczekiwał swojego wyroku. Wyrok nadszedł wraz z drugim wystrzałem.

Chwilę później udał się nad rzekę, aby tam pozbyć się broni.

Po powrocie do domu podniósł całkiem zimne, blade ciało ojca i ułożył je na łóżku. Wytarł Jackowi twarz mokrym ręcznikiem, gdyż na skutek uszkodzenia mózgu doszło do krwotoku z nosa. Następnie poszedł do łazienki, aby umyć ręce. Cały czas miał wrażenie, że jego dłonie pokryte są szkarłatną, kleistą substancją, której w rzeczywistości nie było.

Całą noc spędził przy łóżku ojca. Uświadomił sobie, że został zupełnie sam. I to właśnie samotność w tej chwili najbardziej go przerażała. O dokonanej zbrodni nie myślał wcale.

Nad ranem, kiedy wreszcie udało mu się przysnąć, zbudziło go pukanie do drzwi. Zerwał się natychmiast na równe nogi. Początkowo nie miał pojęcia gdzie jest ani co się wydarzyło poprzedniego dnia. Nawet ciało martwego ojca nie robiło wrażenia. Poszedł otworzyć jako, że łomotanie do drzwi nie ustawało.

Na zewnątrz czekało dwóch policjantów. Gdy Steve ich zauważył, dotarło do niego co stało się wczorajszej nocy. Zemdlął.

Proces przebiegł bardzo szybko. Niektórzy specjaliści twierdzili, że wręcz ekspresowo w takich sprawach. Costello został skazany od razu na karę śmierci, gdyż znalazło się sporo świadków, którzy z ręką na biblii przysięgali iż widzieli oskarżonego jak dokonał okrutnej egzekucji na dwóch mężczyznach. Początkowo chciano go skarżyć także o zabicie ojca, jednak autentyczne alibi potwierdziło, że nie jest ojcobójcą.

Skazany został umieszczony w więzieniu w Baltimore.

Pierwsze dni po procesie były straszne. Perspektywa krzesła elektrycznego działała niczym pętla zawieszona na szyi, która miałaby mu towarzyszyć do wykonania kary.

Sporo nasłuchiwał się także od strażników o śmierci na krześle. Potrafili oni udawać wielkie przejęcie jego losem, podczas gdy w rzeczywistości mówili o tym, aby go złamać. W końcu sam wyrok sądu nie jest wystarczającą karą dla zabójcy. Chłopak dość długo tkwił w błędzie, iż kara krzesła elektrycznego jeszcze jest stosowana.

Gorsze od pierwszych dni po ogłoszeniu wyroku, były tylko noce. Sen nie dawał ukojenia skołatanim nerwom. Conocne koszmary, w których widział swoich martwych rodziców, wyglądających jak mumie, powodowały, że strach i wstręt do samego siebie narastały. Spokój dawno został wyparty przez demony jakie go nawiedzały. Pomyślał wtedy po raz pierwszy, że śmierć w komfortowych warunkach to luksus. Luksus na jaki go już nie stać. Zrozumiał wówczas, że ludzie których zabił musieli czuć się podobnie jak on teraz. Musieli zostać przez chwilę dotknięci uczuciem potwornego żalu i strachu, którego on będzie doświadczał, aby zadośćuczynić.

Dużo rozmyślał o swojej tożsamości. Przez głowę przechodziło mu bez przerwy jedno słowo-
MORDERCA.

Wyobrażał sobie, że taki tytuł będą widzieli wszyscy, którzy spojrzą na jego nagrobek. „Tu leży Steven Costello. Pierdolony morderca, którego spotkała zasłużona kara”.

Nikt nie będzie oceniał go jako mściciela, za krzywdę ojca. Ludzie nie powiedzą, że to Charles Bronson, który dorwał oprawców swojej rodziny i spełnił ich życzenie śmierci. Ci których zabił mieli rodziny, chodzili do kościoła, byli pełnoprawnymi obywatelami Stanów Zjednoczonych i mieli przede wszystkim niezbywalne prawo do życia, jak każda istota ludzka. Wedle ogólnie przyjętych zasad społecznych, ktoś kto odbiera drugiemu człowiekowi to prawo, musi liczyć się z konsekwencjami. Chyba, że jest Bogiem.

Wiadomą rzeczą jest, że niedaleka perspektywa śmierci, wpływa na rozmyślanie o sensie życia.

Jednak świadomość przebywania w celi śmierci znacznie bardziej skupia się na rozważaniach dotyczących zasadności pozbawiania życia człowieka, w imię rekompensaty za doznane krzywdy. Steve nie chciał uniknąć kary, on chciał ją tylko zrozumieć. Nie miał wątpliwości iż to co zrobił zasługiwało na potępienie, jednak czy zabicie po to aby chronić przyszłe pokolenia przed podobnymi incydentami czegoś w ogóle uczy...?

To pytanie oraz wiele innych zadawał sobie odkąd trafił do swojego ostatniego domu w życiu.

Leżał właśnie na łóżku, patrząc w sufit, gdy w kraty celi zastukał Roy Fincher.

- Chłopcze czy jest coś, co chciałbyś zjeść po raz ostatni?- zapytał strażnik.- Możemy przygotować prawie wszystko, czego tylko dusza zapagnie.

Zastanawiał się chwilę patrząc na Finchera, który czekał jak cierpliwy kelner na odebranie zamówienia. Wreszcie skazaniec się odezwał:

- Chciałbym zjeść spaghetti carbonara. To wszystko.

- Wy Włosi uwielbiacie kluchy, co?- zagaił strażnik, uśmiechając się szeroko.

Costello spojrzał z niechęcią na mężczyznę po drugiej stronie kraty, a następnie oparł głowę na poduszkę i dalej wpatrywał się w sufit.

- Jestem Amerykaninem- powiedział cicho, gdy starszy mężczyzna odchodził, pogwizdując jakąś

melodię.

Około godziny szesnastej pojawił się inny strażnik. W lewej ręce niósł tacę z jedzeniem, a prawa trzymała kieliszek białego wina. Postawił posiłek na blacie i bez słowa wyszedł z celi. Następnie Steve usiadł do stołu. Do wykonania wyroku pozostało już niewiele czasu.

Przypomniawszy mu się ojciec. Tamtego dnia przygotował jego ulubione danie. Scena gdy siedzieli wspólnie przy stole, miała być przełomem w dotychczasowym życiu. Później wszystko powinno zmienić się o sto osiemdziesiąt stopni.

Wspomniawszy również matkę. Biedaczka wykończyła się przez potwora jakim był jej mąż. Straciła życie, ale zanim to nastąpiło, utraciła siebie. Po umieszczeniu w ośrodku stała się inną kobietą. Steve nawet bał się, że przed śmiercią przestała być jego matką. Czuł się jak sierota, jednak przysięgł wówczas przed Bogiem, że on nigdy nie przestanie być synem Mary Elizabeth Costello.

W jego duszy dochodziło do sprzeczności. Z jednej strony bał się śmierci. Nie chciał odchodzić, nie dokonawszy w życiu praktycznie niczego. Miał niespełna dziewiętnaście lat i nie była to pora śmierci. Jednak kiedy myślał o tym więcej, nachodził go strach przed samotnością. Ta okropna świadomość, że zostanie sam jak palec, powodowała, że życie wręcz się dłużyło. Nie wiedział czy to życie było dla niego większą karą, czy śmierć.

Po posiłku usiadł przed telewizorem. Od wczorajszego dnia zmieniło się niewiele. Dalej informacją dominującą była ta o zabiciu najbardziej poszukiwanego terrorysty świata. I znowu widział tłumy na ulicach, rozwrzeszczanych, ogarniętych euforią ludzi, jak tuż po wygraniu przez miejscowy zespół finału superbowl.

Spośród wszystkich, uwagę zwrócił na jedną postać. Była to mała dziewczynka.

Na placu, gdzie odbywało się zgromadzenie, było wiele dzieci. Jednak to właśnie kilkuletnia panienka, która trzymała w górze tekturowy transparent, sprawiła iż całą uwagę skupił właśnie na niej. Na owym kartonie, widniał kolorowy napis głoszący: „YEAH. OSAMA BIN LADEN IS DEAD”.

Niezgrabnie nakreślone litery, świadczyły o tym, iż twórcą tegoż sloganu musiało być dziecko, a rozpromieniona twarz blondyneczki w jasno- niebieskiej sukience, ukazywała ogromną dumę. Obrazek ten zahipnotyzował go. Pochłonął całkowicie uwagę. Nawet przez chwilę zapomniał, co go czeka za kilkadziesiąt minut.

Dźwięk przekręcanego mechanizmu zamka, wyrwał go z letargu.

Przed celą stał przygotowany do spowiedzi ksiądz.

Około kwadransa później, tuż po wyjściu księdza, zjawił się Roy Fincher, w asyście dwóch towarzyszy. Wszyscy trzej mieli na sobie odświętne mundury, a ich twarze wyrażały tę samą powagę.

Fincher, występując przed szeregiem pozostałych, przemówił:

- Stevenie Costello, czy jesteś gotów na wykonanie wyroku?

- A czy słyszał pan, żeby ktokolwiek był gotów odejść?- odpowiedział skazany na śmierć.

Staruszek doskonale wiedział, że to głupie pytanie. Gdyby to od niego zależało, nie zadałby go żadnemu, nawet największemu popaprańcowi, który lada chwila miał iść do diabła. Nie decydował jednak o tym zwykły strażnik, a pierdolony regulamin.

Roy choć był wieloletnim pracownikiem służby więziennictwa i miał do czynienia z największymi zwyrodniałcami całego stanu Maryland, mimo wszystko żałował każdego młodego chłopca, który trafiał pod jego pieczę. Chłopcy ci mogli być równie dobrze jego synami i ta myśl go przerażała. Czasem bywało, że zachowywał się jak teksański burak i kmiot w stosunku do więźniów, a niekiedy rozładowywał na nich emocje za swoje niepowodzenia. Wszystko to jednak było przykrywką dla prawdziwego bólu, jaki czuł głęboko w sercu, gdy kolejny bezradny, młody człowiek lądował na białym, szpitalnym łóżku i odpływał w zaświaty, po wtłoczonej dawce trucizny. Widział dziesiątki takich obrazków i za każdym razem była to konieczna tragedia, przy której uczestniczył.

Strażnicy przetransportowali skazańca do sali, gdzie zbrodniarze płacili za swoje grzechy.

Na miejscu czekał już prokurator, wspólnie z człowiekiem przeprowadzającym egzekucję i lekarzem. Wszyscy obecni obrzucili krótkim spojrzeniem zakutego w kajdanki chłopaka, gdy wszedł do środka razem z Royem.

Zauważył, że nikt nie chce patrzeć mu w oczy.

Fincher zerknął na zawieszony u góry zegar i skinieniem głowy oznajmił mężczyźnie czekającemu na instrukcje, iż nadszedł czas. Ten z kolei zaczął odpinać pasy przymocowane do łóżka. W tym samym czasie lekarz wyjął z neseseru niewielki notes oraz długopis i wszystko wydawało się być gotowe.

Strażnik położył dłoń na ramieniu Steve'a.

- Podejdź chłopcze do łóżka i połóż się- powiedział spokojnym głosem Roy.

Jak mu rozkazano, tak zrobił. Kat pomógł aby odpowiednio się ułożył, gdyż normą było, że skazańcy składali dłonie jak do modlitwy. Wyglądało to jakby już leżeli w trumnie. Costello patrzył w biały sufit i nie widział czym zajmuje się stojący nad nim facet. Poczul ukłucie w ramię. Był to wenflon, od którego ciągnęła się przezroczysta rurka, podobna do tej od kroplówki. Rurka dochodziła aż do pompy infuzyjnej. Następnie kat poluźnił koszulę chłopaka, lekko wilgotną od potu. Do gołego torsu przytwierdził dwie przyssawki i uruchomił maszynę stojącą obok pompy. Na kardiomonitorze ukazał się rytm pracy serca. Biło ono nieco nieregularnie, ale nadal biło.

Każdy dźwięk w tym pokoju był dość specyficzny. Poza mechanizmem maszyn nic innego nie dało się słyszeć. Jednak to nie brzmienie nieszczęsnych urządzeń do zadawania i monitorowania śmierci było najgorsze. Najstraszliwszy dźwięk wydawały klamry zapinanych pasów. Jedna po drugiej odzywały się metalicznym szczęknięciem, przytwierdzając ciało do twardego, zimnego łóżka.

Z każdą minutą serce biło coraz szybciej.

Gdy skazany leżał już nieruchomo, podszedł do niego strażnik i przemówił po raz ostatni:

- Stevenie Costello, prawem Stanów Zjednoczonych Ameryki zostałeś skazany na karę śmierci...

Fincher recytował dalej pierdoloną regułkę, której sam nienawidził, jednak ten co powinien jej słuchać, przeniósł się myślami daleko stąd. Widział tylko stojącego nad sobą starszego mężczyznę, poruszającego bezgłośnie ustami.

Costello widział teraz grób swojej matki. Nagrobek, który sam wybrał, nie był już taki sam. Biło z niego przeszywające zimno, a kwiaty, niegdyś pachnące i kolorowe, rozkładały się i przyciągały swoim odorem masę latających much i robactwa.

Mignął mu teraz ojciec. Biedak leżał na podłodze w ogromnej kałuży krwi. Szkarłatna plama była na tyle duża, że nie mogła pochodzić z jednego ciała. Musiało to być wiele istnień. Zwłoki Jacka były oblegane przez robactwo, niczym kwiaty na grobie Mary Costello.

Wreszcie to co zobaczył na końcu, przeraziło go do cna.

Tłumy ludzi wylegających na ulicę, z rozpadających się domów. Wszyscy wyglądali jak zombie. Puste oczodoły, z których pełzały glizdy i rozdziawione szeroko usta, pokryte krwią. Setki, a może tysiące takich istot, jęczących przez wykrzywione buzie, podążało w tym samym kierunku. Domostwa kolejno padały na ziemię, zamieniając się w gruz.

Spośród chaotycznie podążających naprzód bestii, w oczy rzuciła się jedna postać. Stała nieruchomo, a reszta ślepo ją omijała. Był to z całą pewnością młody mężczyzna. Ręce miał uniesione wysoko i trzymał coś w górze. Steve zaczął dostrzegać, że ów mężczyzna kogoś mu przypomina. Wyglądał identycznie jak wszyscy, jednak nie szedł jak pozostali. W dodatku to co usiłował pokazać, na wysoko uniesionym transparencie, sprawiało, iż uwaga skupiała się właśnie na nim.

Czerwone, koślawe litery zaczynały nabierać kształtu. Zmieniały się samoistnie, wypływając jakby z kartki. Gdy w końcu ułożyły się w kilka słów, stworzyły napis: „YEAH. STEVEN COSTELLO IS DEAD”.

Jęknął żałośnie i spojrzał w twarz mężczyzny. Zauważył w niej od razu siebie samego. Litery spływały krwią.

Kiedy przycisk uruchomił pompę, chłopak natychmiast znalazł się w pokoju, gdzie zostanie stracony. Zobaczył jak przez przezroczysty przewód płynie substancja, która za chwilę przeniknie do jego żył. Pentobarbital szybko wtłoczył się do organizmu, powodując przyspieszenie pracy serca, a dwa kolejno podane środki, sprawiły, iż serce pracowało coraz wolniej i wolniej.

Na chwilę przed śmiercią, Costello miał przed oczami małą dziewczynkę, z wymalowanym na kartce hasłem, które widział w telewizji. Cieszył się, że odchodzi z tego świata. Ze świata, gdzie śmierć jest wystarczającym powodem do radości. Wyobraził sobie jeszcze jeden transparent, trzymany przez ludzi na całym globie: „YEAH. WORLD IS DEAD”.

Chwilę po tym, obecny przy egzekucji lekarz, stwierdził zgon i odnotował go w swoim notesie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Quentin, dodano 27.05.2011 20:14

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.